

2018.12.21. Gazeta Wyborcza

<http://wyborcza.pl/7,75968,24300170,protesty-i-nadzieja-w-budapeszcie-na-wegrzech-liczy-sie-juz.html>

Wojciech Maziarski: Co się właściwie dzieje na Węgrzech? Skąd ta nagła aktywizacja protestujących obywateli?

Bálint Magyar: Obecna fala protestów zaczęła się od tego, że rządzący Fidesz przeforsował w parlamencie ustawę o godzinach nadliczbowych, dającą pracodawcy prawo nałożenia na pracownika 400 godzin nadliczbowych rocznie i odsuwającą wypłatę wynagrodzenia za tę pracę o trzy lata, oraz ustawę tworzącą sądy administracyjne, w pełni podległe władzy wykonawczej; to one mają rozstrzygać spory, w których jedną ze stron jest państwo. By zablokować te projekty, opozycja po raz pierwszy wystąpiła wspólnie, zgłaszając prawie 3 tys. poprawek, ale Fidesz odrzucił je wszystkie w jednym głosowaniu. W odpowiedzi na to ludzie wyszli na ulicę.

Obywatele wcześniej też już demonstrowali przeciw władzy i Fidesz niespecjalnie się tym przejął.

- Ale tym razem pojawiła się nowa jakość. Po pierwsze wszystkie partie opozycyjne wystąpiły razem. Po drugie w tym bloku są też organizacje pozarządowe i związki zawodowe. To ważna zmiana, bo w poprzednich protestach organizacje społeczne odcinały się od ugrupowań politycznych, które ich zdaniem utraciły wiarygodność. Ludzie z sektora pozarządowego twierdzili, że nie chcą uczestniczyć w walce politycznej i apelowali do partii, by nie dołączały się do nich.

Po trzecie, fala demonstracji ogarnęła także prowincję, a nie tylko Budapeszt. To ważne, bo na prowincji ludzie są bardziej zastraszeni.

Po czwarte wreszcie, gołym okiem widać było, że zmienił się skład generacyjny demonstracji – bardzo dużo było ludzi młodych, podczas gdy wcześniej na ulice wychodzili głównie przedstawiciele średniego i starszego pokolenia.

Jak w Polsce, gdzie w wystąpieniach w obronie konstytucji na początku brali udział głównie starsi. Ale zdarzały się u was także wystąpienia z udziałem młodzieży, jak np. masowe protesty przeciw projektowi wprowadzenia opłaty od przesyłu danych w sieci, nazywanej „podatkiem od internetu”, w październiku 2014 r.

- Owszem, trzy sprawy wypchnęły w przeszłości na ulice także młodzież: podatek od internetu, reforma oświaty i likwidacja Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego. Jednak w każdym z tych przypadków organizatorzy podkreślali, że nie protestują przeciw całej polityce rządu, a jedynie nie zgadzają się z nim w tej konkretnej kwestii.

A teraz?

- Te dwie sprawy – ustawa o nadgodzinach i sądy administracyjne - połączyły bardzo różne środowiska i nadały protestowi charakter systemowy. Kwestia o charakterze pracowniczo-socjalnym występuje w parze z kwestią praworządności i niezawisłości sądów. Utworzenie sądów administracyjnych oznacza, iż wszystkie sprawy, w których stroną jest władza, zostają wyjęte z kompetencji sądów powszechnych. Także sprawy korupcyjne i związane z aferami. W ten sposób polityczna grupa przestępcza zapewnia sobie bezkarność. Nawet gdyby jakimś cudem prokuratura wszczęła śledztwo i sformułowała akt oskarżenia, sprawa trafi do sądu administracyjnego, który podlega ministrowi sprawiedliwości. To minister mianuje jego członków, którzy nie muszą być nawet sędziami – zasiadać w nim może pracownik administracji państwowej.

W ten sposób wcześniejsze wystąpienia, których organizatorzy podkreślali, że sprzeciwiają się tylko pojedynczym, konkretnym elementom w polityce rządu, przeobraziły się w protest systemowy, w którym solidarnie biorą udział wszystkie partie opozycyjne, związki zawodowe i organizacje pozarządowe. Wszyscy

uznali, że muszą działać wspólnie i nie w pojedynczych sprawach, ale całościowo na rzecz przywrócenia demokracji i praworządności. To zasadnicza zmiana w węgierskiej polityce.

Jej wyrazem były wydarzenia z niedzieli, kiedy po 15-20-tysięcznym wiecu uformowała się kolumna ok. 4 tys. osób i prowadzona przez posłów różnych partii opozycyjnych poszła do fabryki kłamstw - pod gmach telewizji państwowej, by odczytać do kamery swoje postulaty.

Marsze pod redakcje to węgierska tradycja. W 1956 r. antysowieckie powstanie zaczęło się, gdy tłum spod parlamentu poszedł pod budynek radia.

- Polityka mediów państwowych budzi sprzeciw i oburzenie. Opozycja nie ma do nich dostępu, a z głośników i ekranów leje się oszczerca propaganda rządu. Nic więc dziwnego, że kolumna prowadzona przez posłów poszła właśnie tam.

Ten pochód był sygnałem jeszcze jednej ważnej zmiany: partie opozycyjne odzyskują autorytet i wiarygodność. Po wiosennych wyborach spadło na nie odium zawinionej kłeski, pomogły bowiem uzyskać Fideszowi kwalifikowaną większość dwóch trzecich mandatów. Skala zwycięstwa partii Orbána nie musiała być tak wielka, gdyby poszczególne ugrupowania opozycyjne nie rywalizowały ze sobą, lecz poszły w bloku. Sondaże po wyborach pokazywały, że obywatele obwiniają opozycję za to, co się stało. Wielu wyborców partii opozycyjnych deklarowało, że następnym razem nie pójdzie głosować. Jedna trzecia przeciwników rządu mówiła, że chętnie przeniosłaby głos na inne ugrupowanie antyrządowe, ale nie widzi sensownej alternatywy.

I teraz nagle posłowie różnych partii opozycyjnych występują w parlamencie w skoordynowanej akcji przeciw Fideszowi, a następnie wspólnie prowadzą tłum pod budynek telewizji, do którego próbują wejść. To zmienia wizerunek opozycji i buduje jej autorytet. Ludzie po raz pierwszy od dawna poczuli, że mogą być dumni ze swoich posłów.

Zwłaszcza że sposób potraktowania ich przez władze był skandaliczny. Z mocy prawa posłowie mają zagwarantowany dostęp do wszystkich instytucji publicznych, tymczasem do państwowej telewizji nie zostali wpuszczeni. Nie wyszedł do nich nikt z kierownictwa TV, a jedynie szef ochrony, który kazał im się wynosić, a następnie jego ludzie siłą ich wypchnęli. Szef administracji państwowej w tej dzielnicy Budapesztu wydał bezprawną decyzję legitymizującą to usunięcie deputowanych, twierdząc, że naruszyli oni „mir domowy”.

To dla Węgier moment przełomowy?

- Za wcześnie, by o tym mówić, ale na pewno jesteśmy dziś w nowej sytuacji. Także z psychologicznego punktu widzenia. Kształtująca się wspólnota opozycji jest już nie tylko wynikiem kalkulacji taktycznych i rezultatem uzgodnień między kierownictwami partii, ale także skutkiem wspólnych przeżyć. To, co stało się w niedzielę wieczorem, stworzyło osobiste więzy między politykami skrajnie różnych sił, od socjalistów do prawicowego Jobbiku. Razem szli na czele tłumy, a później razem padli ofiarą brutalności władz. Jednego z deputowanych musiała odwieźć karetka. Gdy po wszystkich stanęli przed tłumem na podium i przemawiali, widać było, że są jedną drużyną. I po raz pierwszy publicznie wypowiedzieli postulat powołania okrągłego stołu opozycji, czyli wspólnej instytucji koordynującej działania.

W tej chwili liczy się już tylko jedno: jak pokonać Fidesz i przywrócić na Węgrzech praworządność. Podziały partyjne przestają mieć znaczenie. Do niedawna skrajnie prawicowy Jobbik był dla wielu demokratów wielkim problemem – trwały dyskusje, czy można z nim współpracować. To, co się stało w niedzielę, rozstrzyga tę kwestię. Posłowie Jobbiku szli obok innych na czele tej samej demonstracji i tak samo padli ofiarą przemocy.

Zmiany, o których pan mówi, dotyczą klasy politycznej. Czy to przekłada się na postawy w szerokich masach społeczeństwa?

- Za wcześnie jest, by to ocenić, na gorąco komentuję wydarzenia rozgrywające się na naszych oczach. Nie można wykluczyć, że po jakimś czasie fala oburzenia opadnie i wróci apatia. Jednak są przesłanki, by mieć nadzieję na trwałą zmianę. Po pierwsze poruszenie ogarnęło też miasta prowincjonalne, a po drugie sprawa nadgodzin dotyczy milionów pracowników i angażuje związki zawodowe. W ten sposób różne środowiska i warstwy społeczne ze swoimi postulatami występują wspólnie w ramach jednej fali protestu.

A władza co na to? Orbán się boi?

- Nazajutrz po wydarzeniach w Budapeszcie był na meczu piłki nożnej.

Info o Bálincie Magyarze:

Bálint Magyar jest socjologiem i byłym politykiem. W latach 80. był działaczem ruchu obrony praw człowieka i członkiem antykomunistycznej opozycji demokratycznej. Po upadku komunizmu w latach 1990-2010 był deputowanym z ramienia liberalnego Związku Wolnych Demokratów i przewodniczącym tej partii w latach 1998-2000. Był ministrem edukacji oraz sekretarzem stanu w Urzędzie Premiera odpowiedzialnym za fundusze europejskie. Napisał głośną, tłumaczoną na wiele języków książkę „Węgry. Anatomia państwa mafijnego”.